Ner 7. Kraków, 17go Lutego. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

KAROLINA KORDAJ (Corday).

Do jakich ostateczności posuwają się namiętności polityczne w czasie wielkich wstrząśnień, uczą nas dzieje wszystkich narodów. Nieraz poświęcenie graniczy z występkiem, a bohatyrstwo z barbarzyństwem. Namiętnościom tym podlega głównie ród męzki, oddany przeważnie i wyłącznie prawie życiu publicznemu, w którem walka stronnictw o zasady lub o środki doprowadza przeciwników do najwyższej zapamiętałości. — Niewiast życie, więcej domowym zajęciom poświęcone, czyni je mniej zdolnemi do owych uniesień politycznych, które choć się i między niemi odezwą, rzadko się posuną do wybuchu gwałtowniejszego i głośniejszego, któryby przeszedł zwykłą miarę, mniej lub więcej wybitnej różnicy zdań. A jeżeli nawet zawre w niewieście zapał polityczny, to ją raczej pociągnie do poświęcenia się biernego, aniżeli do czynu samoistnego, któryby w szale uniesienia mógł się posunąć aż do zbrodni.

Dla tego też jedynem niemal w dziejach zjawiskiem jest Karolina Kordaj, która— porwana zapałem politycznym, zachowawszy w sobie nieskazitelność uczuć dziewiczych i szlachetną czystość duszy—chce się poświęcić dla kraju, i poświęcenie to objawia i wykonuje.. morderstwem pojedynczego człowieka. Jest ona dla tego ciekawem prawdziwie *studium* dla psychologów, i zajmujące rzuca światło na to szczególne rozdarcie społeczeństwa całego, jakiem się objawia pamiętna rewolucya francuzka. Żywioły wszystkie społeczne musiały być zaiste pomieszane i wzburzone aż do głębi, prawie— rzecby można—jeżeli w sercu dziewicy czystej uczuciem, wyższej myślą, najszlachetniejszy zamysł poświęcenia się obleka na się szatę zbrodni.

Dzieje ówczesne bardzo mało szczegółów zostawiły o tej dziewicy, której czyn sam w sobie, tak jaskrawo oznaczony, znika epizodycznie w onej epoce krwawej i okropnej.

Co nam o niej dzieje przekazały ogranicza się mniej więcej na następujących szczegółach.

Pochodząca z rodu szlacheckiego Marya Karolina Corday d'Armans ur. r. 1769 w okolicy Kaesz, wychowana była zwyczajem rodzin szlacheckich w klasztorze. Usposobienie jej było marące i poważne. Wróciwszy z klasztoru rozmiłowała się w nauce dziejów, i z gorączkowym zapałem czytała wszystkie owoczesne publicystyczne utwory. Przedewszystkiem wszakże studoiwała życiorysy Plutarcha, i pisma Russa. Przy naukach tak poważnych zachowała wszakże całą świadomość dziewiczości uczuć. Zdarzenia owoczesne zajmywały ją nadewszystko: wszakże się ważyły losy ojczyzny, którę kochała gorącem i niepokalanem uczuciem. Zdarzenia rewolucyjne były dla niej praktycznem niejako urzeczywistnieniem tych marzeń, jakie wydobyła z poważnych historycznych studyów swoich. Rzeczą jest prawdopodobną, że jej myśl czysta razić musiała ta jaskrawa różnica między ideałem jaka wynikła zapewne ze swych studyów, a tem, co się w koło niej działo.

Unosząc się za wszystkiem co szlachetne, tem mocniejsze czuć musiała odrazę od nadużyć okropnych, jakiemi się owa epoka odznaczyła. Rzeczą jest bardzo naturalną, że do jej zdań i serca trafiło najwięcej stronnictwo Żyrondzistów, odznaczające się wzniosłemi teoryami, mającemi coś w sobie starożytnego, posągowego, jakby z czasów wolnej Grecyi i republikanckiego Rzymu. Jakoż tem silniej przylgnęła do tego stronnictwa, gdy widziała je prześladowanem, i gdy po katastrofie 31 maja, poznała osobiście niektórych Żyrondzistów, jakoto: Barbaroux, Petiona, Langines i Lariviere, którzy się przed Jakóbinami schronili do Caen. W czułem sercu dziewicy, prześladowanie wzmódz jeszcze musiało zapał do stronnictwa, które wedle niej i wedle jej przekonania na studiach historycznych ugruntowanego, dążyło jedynie do szczęścia i zbawienia ojczyzny.

Takimże samym zapałem musiała nienawidzieć przeciwne stronnictwo, które całą Francyją zalewało krwią, płynącą z pod stóp gilotyny, jakby ze źródła nieustannego... szeroką rzeką. Wówczas to zapewne zaczęła się w niej wyrabiać myśl, którę miała później dokonać krwawym czynem.

Niektórzy z francuzkich pisarzy, goniący wszędzie i zawsze za romansem, chcieli wynaleźć jakąś romantyczną pobudkę jej czynu, i napomykają, jakoby z pomiędzy prześladowanych Żyrondzistów sławny z swej południowej piękności Marsylianin Barboroux trafił do jej serca, i dowodzą, że ona czynem swym chciała się zemścić za kochanka. Domniemywanie niczem nie jest poparte, i tylko dowodzi płytkości tych, którzy historyą jako romansik przestrajają w utwory własnej wyobraźni.

Ona nie mścić się chciała, ale zbawić ojczyznę od krwawych terorystów. Ta myśl coraz silniej wyrabiała się w jej duszy, a szukając sposobu musiała natrafić koniecznie na osobistości, które prym wodziły w tym okropnym dramacie. W upadku tych ciemiężycieli upatrywała zbawienie.

Do poświęceń była gotowa!.. I jakież może przynieść poświęcenie?..

Niech zginie jeden najgłówniejszy z kierowników krwawych, a rzecz publiczna będzie zbawiona.

Czyż go zabić potrzeba?.. Dobrze!.. ja go zabiję!..

Taki był zapewne ciąg jej wewnętrznych rozmyślań, gdy pomału wyrabiało się jej niezmienne postanowienie.

Ustaliwszy się w niem, wynalazła pozór do podróży, i z czołem pogodnem pożegnała rodzinę, jakby się na czas krótki oddalała, choć miała to przekonanie, że już nigdy nie wróci, czego dowiodła tem najlepiej, że odjeżdżając zabezpieczyła utrzymanie wiernej służącej. Dnia 1 czerwca 1793 przybyła do Paryża. Tu powstała w jej myśli wielka wątpliwość... Czyja śmierć może być zbawienniejsza dla Francyi—Robespierra czy Marata? Przeczytawszy jeden numer wydawanego przez Marata *Przyjaciela Ludu* (l'Ami du peuple) była już zdecydowana. Marat w nim oświadczał, że aby uzupełnić rewolucyę, trzeba jeszcze ściąć 200,000 głów

Bawiąc w Paryżu miała niektóre stosunki z przyjaciołmi Żyrondzistów. Była na jednem zgromadzeniu konwentu narodowego, i tam się znowu zachwiała w swem postanowieniu, słysząc rozmawiającego Robespierra; ale już miała adres Marata. Udała się więc naprzód listownie, bo Marat był niezdrów, i przez czas jakiś nie wychodził nigdzie. W liście tym prosiła go o posłuchanie, pod pozorem, że mu ma coś odkryć z umowów Żyrondzistów w Caen. Nie odebrawszy odpowiedzi, d. 13 lipca poszła sama do niego, kupiwszy nóż po drodze, lecz ją gospodyni Marata odprawiła z niczem. Udała się więc powtórnie do niego, tego samego dnia wieczorem i przesłała mu bilecik naglący. Marat kazał ją wpuścić.

Siedział w kąpieli, i wypytywał ją naglącym sposobem o nazwiska mniemanych spiskowych. Zapisując je rzekł:

— Dostaną oni za swoje; każę ich wszystkich gilotynować.

Na te słowa zbliżyła się Karolina Kordaj, i dobywszy nóż ukryty uderzyła nim w lewą stronę piersi tak mocno, że Marat skonał wyrzekłszy ledwie:

— Jakto moja przyjaciołko?.. umieram.

W tej chwili wpadło kilka kobiet i jeden z expedytorów dziennika. Zaczęli się nad nią pastwić, zanim przyszła straż przywołana, która ją zaprowadziła do więzienia. Karolina postępowała spokojnie i z pewną dumą. Na drodze zdybał ją jakiś młodzieniec, i chciał się za nią dać zabić; lud go rozszarpał. Znaleziono przy niej odezwę do narodu francuskiego napisaną z wielkim zapałem patryotycznym, choć nieco marzącym.

Przybywszy do więzienia napisała list do ojca przepraszający, i do Żyrondysty Barbaroux, wyrażając w nim radość swą, że wkrótce zejdzie się na polach elizejskich z Brutusem i dawnemi przeszłych wieków znakomitościami. W więzieniu obchodzono się z nią dosyć przyzwoicie. Dnia 17 stawiono ją przed sąd. Znalezienie się jej było pełne godności; odpowiadała krótko, nie zapierała się niczego, i czyn swój przedstawiała jako dobrodziejstwo dla Francyi. Jej znalezienie się, odwaga i cała postawa szlachetna wzbudziła współczucie nawet między sędziami, którzy jej na obronę przeznaczyli sławnego adwokata Chevau-Lagarde, tego samego, który przemawiał za królową. Ten nie tyle jej bronił, ile podnosił wielkość duszy i odwagę bohatyrską, za co zyskał mnogie oklaski. Wyrok nie mógł być wątpliwym; została ukarana śmiercią.

Słuchała wyroku najspokojniej, i świadkowie naoczni zeznawali nawet, że od tej chwili twarz jej przybrała wyraz wesoły, a postawa stała się jeszcze godniejszą. Księdza nie żądała, i wieczorem wyprowadzono ją na gilotynę obleczoną w czerwony płaszcz. Twarz jej ciągle była spokojna, dopiero gdy kat zdjął z niej chustkę co łono przykrywała, wystąpił na nią rumieniec wstydu i gniewu. Kat Legros, pokazując ludowi ściętą głowę, dał jej policzek, co zgromadzeni przyjęli z obużeniem, a w tłumie ozwał się głos:

— Ona mędrsza od Brutusa.

Tu Adam Lux przemówił, deputowany miasta Moguncyi. Zginął za to.

Te są w streszczeniu wszelkie niemal szczegóły o Karolinie Kordaj, jakie nam były wiadome aż do ostatnich czasów.

W roku dopiero minionym 1862 Revue de deux Mondes podała artykuł nowy o Karolinie Kordaj, ciekawy z wielu względów, pod tytułem: *Młodość Karoliny Kordaj.*

Artykuł ten jest napisany przez Kazimierza Perrier, który, jak wiadomo, był wielką znakomitością epoki polipcowej. Szczegóły przez niego zebrane miały następujące pochodzenie, jak to nam podaje w krótkim wstępie artykułu.

„Na początku zimy r. 1860 umarła 88 lat licząca staruszka pani M. krewna moja, która do późnego wieku zachowała wielką pamięć i przytomność umysłu. Zawzięta legitymistka w zdaniach swych polity-

cznych nie przeszła po za rok 1788. Przestawała ledwie na restauracyę r. 1815, a monarchia z r. 1830 nie istniała nawet dla niej. Lubiła opowiadać sceny przeszłości, i nieraz wspominała o Karolinie Kordaj, jako o przyjaciołce młodości. Potępiając popełnione przez nią morderstwo, oddawała jej zupełną sprawiedliwość, i mnie przekazała ogłoszenie wspomnienia o Karolinie Kordaj, które napisała sama pani M."

To co następuje, jest spisane przez staruszkę, której zdanie o Karolinie Kordaj tem więcej zasługuje na wiarę, że się ich wiara polityczna różniła zupełnie.

Mniemamy, że zajmującem będzie dla czytelniczek naszych mianowicie przeczytać to ładnie zresztą napisane wspomnienie, które podajemy w streszczeniu wprawdzie, zachowując wszakże o ile możności charakterystyczną barwę oryginału.

„Wiele mówiono i wiele pisano o Karolinie Kordaj. Nikt jej wszakże dotąd sprawiedliwie nie ocenił. Wszyscy prawie miasto dziejów podawali bajeczki, i stósownie do własnych zdań malowali nie portret, ale obraz fantazyjny.. Czyn jej, godny zapewne potępienia, natchniony był uczuciem bardzo rzadkiem w naszych czasach, bo miłością kraju rodzinnego."

„Karolina Kordaj poświęciła się dla kraju. Tak przynajmniej mniemała, i błąd ten może poniekąd wytłumaczyć występek, mający źródło tak czyste i bezinteresowne. Karolina Kordaj w kwiecie wieku i wdzięków poświęciła życie, aby ratować życie tysiąca Francuzów i zgasić pochodnię domowej niezgody. Trzeba było koniecznie pobudki tak wzniosłej, aby ją przyprowadzić do czynu tak przeciwnego nietylko jej płci, ale całemu jej usposobieniu czułemu i serdecznemu...

Piszący o niej nie byli zdolni rozumieć tego uczucia zapalonego, tego poświęcenia szlachetnego i mezkiej odwagi, które prowadziły rękę Karoliny Kordaj, gdy uderzyła w łono potworu, który nie był zaprawdę godzien z takiej umierać ręki.

„Ja co ją znałam, co byłam jej przyjaciołką, chciałabym w odpowiedzi na mnóstwo o niej popisanych kłamstw oczyścić jej pamięć, okazać ją w właściwem świetle, i... ani ją potępiając ani uniewinniając, przytoczyć szczegóły, za których najściślejszą prawdziwość ręczyć mogę.

„Mówiono, że Karolina Kordaj chciała się zemścić za kochanka, którego Marat na śmierć skazał. I widziałam nawet w owych czasach obrazek przedstawiający ją w stroju i okrągłym czypeczku jakiejś gryzetki. To najlepiej trafiało do miary uczuć i myśli tych, co o niej pisali. Ale Karolina Kordaj była wyższa nad zwykłe słabości ludzkie, i nie podniosłaby sztyletu na pomszczenie krzywdy pospolitej osobistej. Uwolnić kraj od potworu, powstrzymać lejącą się krew, wieczne milczenie nakazać temu szalonemu głosowi, co zażądał setnych tysięcy głów ludzkich! . to były jedyne i prawdziwe pobudki tej dziewczyny skromnej i nieśmiałej, której życie aż do tego dnia złowrogiego płynęło spokojne, niewinne i ciche. To dało jej tę mezką energię, która ją nie opuściła ani na chwilę, i z którą stanęła na rusztowaniu. Francuzka urodzeniem, Rzymianka sercem, wierną została tej drugiej ojczyźnie, której dzieje ogromny wpływ wywarły na całe jej przeznaczenie."

Tu wchodzi opowiadająca staruszka w szczegóły rodowe, z pomiędzy których to tylko podnosimy, że Karolina Kordaj była prawnuczka (po kądzieli) wielkiego tragika Kornela (Corneille); że ojciec jej był znakomitego rodu szlacheckiego, że nareszcie stosunki majątkowe rodziny całej były bardzo ograniczone, co wkładało na nią obowiązek wielkiej oszczędności. Karolina szła w tej mierze matce w pomoc.

„Gdyśmy się poznały bliżej, było to stworzenie słodkie,, spokojne, obdarzone rozumem nad wiek, miała bowiem natenczas zaledwie 12 do 13 lat. Pracowita, dobra, posłuszna, starała się wszystkim podobać, i wszystkich uprzedzać. Aby matce przynieść pomoc, zajmowała się gospodarstwem, i mimo zdrowia jak widać było bardzo słabego, brała na się wszelkie najuciąźliwsze zajęcia gospodarskie."

„Razu jednego, pamiętam bardzo dobrze, zdybaliśmy Karolkę zakrwawioną, niesioną prawie do domu lecz przytomną. Było to w skutek nieszczęśliwego upadku ze schodów kościoła, z którego wychodziła. Aby uspokoić matkę, uśmiechnęła się do niej, niechcąc się nawet przyznać, że cierpi."

— Ona jest zawsze tak surową dla siebie — mówiła p. Kordaj do mojej matki. Nigdy się nie skarży i ja sama odgadywać muszę czy jest słaba, boby się inaczej nie przyznała."

(*Dok. nast.*)

POTOK.

Pod strażą wzniosłej opoki
Tysiącami iskier tryska
Z granitowego łożyska
Strumień głeboki;
To szumiac, to mruczac,
Znowu w wściekłym biegu,
Mdłych ziół korzenie za sobą zawłócząc,
W rodzinnym wije się brzegu.

Tu pod siłą jego fali
Dąb wyniosłe kładzie czoło,
Tam chata samotna na zrębie
Pod mocą bałwanów się wali
I wpada w głębie!
A on dumny ze zdobyczy
Szumi, huczy, tryska, syczy.

Szalony! jeźli twa fala
Skruszyła drzewo, chatę strzaskała

I w niewstrzymanym zapędzie
Nadzieje rolnika zniszczyła,
Czy równie silną twa potęga będzie,
Gdy równa tobie oprze ci się siła
Skała,
Pod twemi wzrosła stopami,
Twoich bałwanów zwilżona pianami,
Dumna w swoich głazów siłę ,
Tobie dumnemu gotuje mogiłę:
Ty, lub ona —
Jedno z was skona!

Pamiętny dawnych zwycięztw i swobodą tchnący
Wznosi do góry grzbiet swój, bałwany szumiący,
J z lwa wściekłością, z ludzkiej myśli lotem
Rzuca się na przeciwnika.
A do boju go wiedzie wzburzonych nurtów muzyka.
Pieni się — piana po pianie
Wytryska, znika —

Bałwany jęczą, zwyciężyć nie mogąc bryły.
Wtem nagle groźniej zawyły.....
Wód zastępy pędzą nowe,
Jęki wydając grobowe.
Piętrzą się — wznoszą
Jak żołnierze zdobywcy po zdobytym wale,
A za niemi wciąż inne postępują fale.

Z hukiem po opoki grzbiecie
W przepaść spadają bałwany,
A nurt ich niewstrzymany
W dwa ramiona się rozpada,
I dwoma językami jedna paszcza gada;
Ślni się pianą, zgrzyta głazami,
I kilką jeszcze zwinąwszy kłębami,
Uwieńczony liściem drzewa
Jako zwycięzca po skończonym boju,
W powolny strumień nabrzmiewa. —
Płynie w dolinę używać spokoju.

Adam Bełcikowski.

Ramoty starego Detiuka

O WOŁYNIU,

zebrał

ANTONI ANDRZEJOWSKI.

Poprawiona zalotnica

(*Ciąg dalszy.*)

Na ten głos spiesznie wyszła Ludwika z nieco zapłakanemi oczyma, i czule witała p. starostę. ›Winszuję ci klientko! Najjaśn. pan kazał oświadczyć ci, że twój interes skończony. Jedź pani spokojna, mnie polecił jechać za tobą i w Cepcewicach z p. Urbanowskim w imieniu królewskiem traktować. Spełniając rozkaz monarchy, twoich pani oczekuję rozkazów.‹—Te słowa, jak grom uderzyły umysł i serce wdowy, zbladła, zachwiała się i głośnym płaczem rozległy się jej pokoje. Uspakajał starosta płaczącą, ale jego wzniosłe uczucia nie pojmowały i pojmować nie mogły stanu duszy Ludwiki. Widziała koniec wymarzonej świetności swojej karyery, uleciały sny pochlebne, znikła nadzieja oczekiwanej zdala wielkości! Była już tylko znowu tąż samą wdową, żebrzącą u ludzi wsparcia, pomocy, ale między tymi ludźmi, na żadnym nie jaśniała korona. Poddała się więc zupełnie żalowi, a wśród łez gorących ledwie słów kilka zimnego podziękowania wybąknęła. P. starosta przypisywał te płacze wzruszeniu serca przepełnionego wdzięcznością i radością, a poleciwszy p. Ludwikę staraniom cześnika i Urbańskiej ucałował rączkę wdowy i do widzenia w drodze pożegnał. Pozostawszy z domowemi tylko poddała się najsroższym wyrzekaniom, nie szczędząc ani p. starosty, ani samego króla.

W godzinę może potem, oznajmiono p. szambelana Płotnickiego. „Szambelana?“ powtórzyły razem Ludwika i Urbańska „prosić!“ Wszedł Serafin w stroju szambelańskim i z kluczem złotym u stanu; bogaty ubiór dodał wdzięków pięknemu młodzieńcowi; ale wszedł nieśmiało, ledwie odważył się spojrzeć na p. Urbanowskę, postąpił ku niej z uszanowaniem, skłonił się i rzekł z cicha: „Najjaśniejszy pan rozkazał mi złożyć pani najczulsze pożegnanie i upewnić ją o jego monarszej życzliwości i protekcyi.“ To mówiąc, złożył na stoliku ponsowe marokinowe w złoto oprawne pudełko. Obrażona duma Ludwiki, że król sam osobiście nie przyjechał ją pożegnać, nadały rysom wdowy dziwnie wspaniały charakter, z góry więc poglądając na Płotnickiego rzecze: „Nie należy mi przyjmować daru, na który nie zasłużyłam, ani najjaśniejszy pan ma obowiązek obdarzać mię jakim upominkiem; wielkie odebrałam dobrodziejstwa w protekcyi, jaką najjaśniejszy pan zaszczycić mię raczył przeciw uciskającym mię krewnym mojego nieodżałowanego męża; wdzięczność dla najłaskawszego monarchy poniosę w najodleglejszy zakątek i w sercu na zawsze zachowam, ale daru tego, najjaśniejszy pan niech mi pozwoli nie przyjąć.“ To mówiąc zalała się łzami, a gdy dla obtarcia oczu podniosła ręce, Płotnicki zręcznie pocisnął sprężynę, pudełko się otworzyło i mimowolne: *ach!* pobudziło Ludwikę do odkrycia oczu, których wejrzenie, jak magnes żelazo, przyciągnęły brylanty. Ale się pomiarkowała, zamknęła pudełko, i chciała je oddać szambelanowi. „Nie, pani! nic mię nie skłoni do zwrócenia najjaśn. panu tego, co mi dla oddania pani powierzyć raczył; może kto inny tego się podejmie, a mnie chciej pani pozwolić na ten raz być nieposłusznym jej rozkazom, całem życiem nagradzać będę to moje uchybienie,“ i zabierał się do wyjścia.

Jak on jest miły, jak się pięknie tłumaczy, pomyślała wdowa: i obracając się do Serafina, rzeknie: p. szambelan czego tak się spieszy? czy go służba, do skorego powrotu zmusza? „Nie pani! dziś kolej p. Axamitowskiego, a ja to tylko jedno zlecenie od najjaśn. pana miałem.“ „Więc proszę zabawić“ rzekła wdowa.“ Odurzona światłem, nie korzystałam z częstych odwiedzin pana, ale teraz, mając już opuścić Warszawę, miło mi będzie wspomnieć, że i tu kogoś życzliwego mi zostawiłam.“ „Życzliwego? jakże małemi sądzisz pani i błahemi cenisz uczucia tych, którzy ją w milczeniu uwielbiają.“ „Jakto w panu widać dwór zalotnego monarchy!“ „Czy pani w silniejsze uczucia nie wierzysz?“ Prawie nie; słowa pana, są językiem dworu Stanisława Augusta, galanteryą zwanym na wielkim świecie i bardzo tam popłacającym, a dla nas prowincyonalnych prostaków niezrozumiałe.“ „Czy pani każesz jaśniej i po prostu się tłumaczyć.“ „Uwalniam pana od tej fatygi; parafianka, mogłabym piękne wyrażenia jego wziąść za szczere.“ „Alboż pani i w szczerość naszą nie wierzysz?“ „Na teatrze, tyle nasłuchałam się oświadczeń, wynurzeń, a nawet przysiąg, że i na świecie będąc i słysząc piękne mężczyzn wyrażenia, zdaje mi się, że jestem na komedyi.“ „A jeżeli czas usprawiedliwi te oświadczenia?“ „Więc zostawmy to czasowi,“ rzekła Ludwika wstając, Serafin wstał także, zabierając się do pożegnania. „Żegnam pana szambelana,“ rzeknie podając rękę, którą Serafin po stokroć ucałował, ani mu jej odjęto. „Czy pani pozwoli pisywać do siebie?“ „O! czemuż nie! kto tak pięknie ustnie się tłumaczy, tego zapewnie i listy godne są czytania.“ „A jeżeliby w nich silniejsze uczucia przebijać się miały?“ „Okoliczności wskażą, czy je omijać, czy czytać będzie należało.“ Uradowany szambelan jeszcze raz ucałował rękę p. Urbanowskiej, uczuł nawet lekkie swojej ściśnięcie, pełen nadziei wyszedł i wdowa do drzwi salonu go odprowadziła.

Szczęście towarzyszące Ludwice wypieściło ją i zepsuło, bo ani religijne, ani ściśle moralne było jej wychowanie. Serce, dotąd złudzeniom tylko dostępne, prawdziwej miłości nie znało, a rozdraźnienie moralne, w jakiem ją zbieg okoliczności postawił, usposobiło to serce do zdrowych i silnych wrażeń. Z drugiej strony oczy jej otworzyły się prawdziwie, poznała istotnie obecne swoje położenie i przekonała się, że droga, którą szła dotąd, była mylną, i że inny charakter, inny tryb życia przybrać potrzeba; ale nie pokazała jednak po sobie tej zmiany sposobu myślenia i ton swój zachować chciała. Grzeczniej przecież mówiła ze szwagrem, i niby z trudnością na wyjazd przystawała. Oświadczała się, że upominek królowi odeszle, ale cześnik dał jej poznać, że to byłoby niedorzecznością, i że kiedy już do tego przyszło, że król jmc udarował ją upominkiem, dar ten koniecznie przyjąć należało. Otworzyła Ludwika pudełko, popatrzała, uśmiechnęła się, zamknęła, i do szkatułki schowała. Nazajutrz p. Urbanowska pożegnalne wizyty oddawała, p. Koniuszewski rozpłacał się z dłużnikami, panna Urbańska rzeczy do podróży układała.

Ludwika udała się naprzód do pani krakowskiej i przyjęcie uprzejme znalazła, ale ją zdziwiło, gdy p. kasztelanowa zaczęła jej pochwalać zamiar opuszczenia Warszawy, gdzie dłuższy pobyt mógłby przynieść szwank jej dobremu imieniowi, zwłaszcza, że Warszawa obfituje w ludzi, mających jedynie za cel życia intrygi i plotki. „Powracaj moje dziecię w twoje strony, tam los jeszcze zrobić możesz. Protekcya króla, brata mojego, i w najodleglejszym państw jego zakątku dosięgnąć ciebie potrafi. Abyś i o mnie nie zapomniała, to proszę cię, abyś na tych paciorkach codziennie pacierze twe odmawiała i za mnie westchnęła.“ To mówiąc, zarzuciła na szyję Ludwiki kosztowny różaniec z koralów, z wizerunkiem złotym Zbawiciela misternej roboty. Uklękła wdowa przed panią krakowską i z uszanowaniem religijnem przyjęła dar szacowny, całując rękę czcigodnej dawczyni upominku. Nigdy jeszcze podobne uczucie nie obudziło się w sercu wdowy, bo może raz pierwszy w życiu uczuła, że w religii tylko prawdziwą pociechę i męztwo do znoszenia trosk znaleźć można. Lecz to uczucie prędko przeminęło, bo jeszcze myśl za światem ulatywała. Wszędzie p. Urbanowską grzecznie przyjęto, ale nikt jej nie powiedział: zostań! nie znalazła nawet ani w jednej z dam znajomych uprzejmości, choć pozór mającej przyjaźni, wszędzie światowo była przyjęta. Znikło zupełnie oczarowanie. Uczuła dopiero wdowa, że dla powodzenia na dworskim świecie potrzeba, albo niezmiennej u dworu wziętość, do czego sama piękność nie wystarcza, albo sił umysłu imponujących, pod pozorem pewnej układności; poznała, że być w modzie jest zamało, bo moda zmienna i niestała. Znużona zimnemi wizytami i z ściśnionem sercem do siebie wróciła. Panna Urbańska, postrzegłszy na jej szyi okazały różaniec, zapytała u kogoby ten drogi klejnot kupiła? Przypomniała sobie Ludwika szacowny upominek i ucałowała krzyż na nim zawieszony. Nie było w tem uniesieniu światowej próżności, serce uciśnione potrzebowało pociechy i po raz pierwszy może uczucie religijne zstąpiło do uciśnionego serca. Nazajutrz p. Urbanowska z towarzyszami podróży, wysłuchawszy mszy ś. u ś. Krzyża, Warszawę na zawsze opuściła.

(*Dok. nast.*)

CURRER BELL.

(Autorka angielska).

Autorka, która pod tem nazwiskiem zjednała sobie w krótkim czasie tak wielkie koło wielbicieli-czytelni-

ków w literaturze angielskiej, będzie i dla naszych czytelniczek osobistością dość ciekawą. Oryginalność jej poetycznych figur, jako też i charakterów, przedstawionych w jej dziełach, mieści ją w rzędzie pierwszych pisarzy Albionu, a że i jej dwie siostry nie są nieznajome w świecie literackim, nasuwa się myśl, iż już w całej rodzinie tli iskierka poetyczna, którę tylko rozdmuchać potrzeba.

Currer Bell nazywa się właściwie *Karolina Bronte*. Urodziła się roku 1816 w jednej z wiosek hrabstwa Yorkshire, gdzie jej ojciec był proboszczem. Człowiek ten, nadzwyczaj surowy, niewiele zajmował się dziećmi, a że matka bardzo wcześnie umarła, więc całe rodzeństwo, składające się z pięciu sióstr i jednego brata zostawione było na opiece Boskiej i własnym siłom. Wioska, przez tę rodzinę zamieszkała, leżała w najsmutniejszej okolicy. Nic, na czemby oko spocząć mogło: w około nagie pagórki i rozległe moczary— ze wszystkich stron jednostajność. Najbliżej domku mieszkalnego, wystawionego na gwałtowne i nieprzyjemne wiatry: cmętarzyk wiejski. Dziatki, zaopatrywane nadzwyczaj skromnie tak w żywność jak i odzież, kochały się serdecznie—nie mogąc z zakazu ojca używać gier i różnych innych przyjemności wieku dziecinnego, rzuciły się do nauk i to z całym zapałem. Jedyną ich rozrywką były dramatyczne improwizacye, w których książę Wellington, ulubieniec małej Karolki, — pierwszą grał rolę.

Jakiego to usposobienia nadzwyczajnego były te dzieci, dowodzi najlepiej anegdota, którę sam ojciec opowiadał i za jej autentyczność zaręczał.

Kiedy najstarsza z córek miała lat dziesięć a najmłodsza dopiero cztery, postanowił ojciec zrobić z dziećmi oryginalny w swoim rodzaju egzamen, przy którym, w myśli, aby nie były jego widokiem żenowane, ustawił je za parawanem. Zaczął ten popis od czteroletniej Anny (*późniejszej Akton Bell*) którą zapytał:

— Czego potrzebuje takie, jak ty, dziecko najwięcej?

— Wieku i doświadczenia– odpowiedziała czteroletnia myślicielka.

Następnie zapytuje Emilię (później *Ellis Bell):*

— Jak mam postępować z niegrzecznym waszym bratem?

— Dawaj mu rozsądne rady ojcze— a jeżeli rozsądku nie usłucha, bij go—odpowiedziało dziewczę.

Karolina, wówczas sześcio lub siedmioletnie dziecko, na zapytanie, która jest najlepsza książka?

— Biblia — odrzekła.

— A na drugiem miejscu którą książkę położysz? pyta ojciec

— Księgę natury.

Starszą siostrę zapytał ojciec—jak najlepiej wychowywać dziewczęta?

— Tak, aby się dobrze domem nauczyły rządzić. Najstarsza zaś na zapytanie, jak najkorzystniej czasu używać— odrzekła: „Jeżeli go będziemy obracać na przygotowanie się do szczęśliwej wieczności.

Ileż to zagłębiania się w samym sobie— w dziecinnej izdebce.

Wkrótce potem trzy najstarsze siostry oddano do szkoły — którą doskonale jako szkołę cierpienia odzwierciedliła Karolina w „Yane Eyre.“ Wiele pojedynczych rysów jest z rzeczywistości wziętych: nauczycielki, febra tamże grasująca, i ofiara tej słabości, mała Helena Burns, wszystko to obrazy, na które patrzyła i nad któremi bolała młoda Karolina. Wprawdzie jej siostry nie uległy natychmiast epidemii, ale odesłane do domu umarły obie, a Helena Burns jest wierną poetyczną kopią Maryi Bronte.

Po śmierci dwóch sióstr została Karolina głową rodziny. Z oboma młodszemi siostrami zaczęła teraz Karolina wylewać swoje dziecinne uczucia. Z tej to epoki zostawiła spory pakiet manuskryptów: powieści, poematów, dramatów, romansów—wszystko własną ręką i nadzwyczaj drobno pisanych. Zbiorek ten zawiera około 22 tomików. Jak płodny umysł miały te trzy główki dziewczęce dowodzi ta okoliczność, że wszystko to spisały w niespełna piętnastu miesiącach. Są to po największej części obrazy fantastyczne bez wyrozumowanego i estetycznego obrobienia.

Aż do piętnastego roku życia nic się nie zmieniło w życiu Karoliny.—Znowu ją posłano na pensyę. Tutaj poświęciła się zupełnie naukom, a chociaż w godzinach szkolnych zdawało się, że najpojedyńczszych rzeczy nie rozumie, to w innych, nawet pojęcie młodej panienki przechodzących, przewyższała w rozumieniu nietylko starsze koleżanki... ale i nauczycielki. Gdy ją do zabawy ciągnięto— siadając z książką w cieniu drzewa odpowiadała: Nie umiem się bawić — ja się nigdy nie bawiłam. Za to, gdy się do spoczynku udawano, gromadziły się wszystkie koleżanki około Karoliny, która je zabawiała fantastycznemi opowiadaniami, któremi do tego stopnia umiała poruszać serca młodych dziewcząt, że jedna z nich spazmów i kurczów pod wrażeniem opowiadania dostała.

Jużto cała postać Karoliny, która się od owej epoki do zgonu nie zmieniła, nie będzie bez interesu dla naszych czytelniczek.

Karolina była spokojna, w sobie zagłębiona dziewczyna, wzrostu małego, pochylona, lecz głowa i członki harmoniowały zupełnie z wątłą i słabowitą budową ciała; włosy miała ciemno-blond a oczy tak dziwnego wyrazu, że trudnoby je było opisać. Twarz miała szeroką a nawet brzydką, ale wyraz jej oczu i potęga ducha zakrywały zupełnie krzywą twarz i za duży nos. Nogi i ręce miała nadzwyczaj małe, ale kształtne. Ubierała się zawsze skromnie, ale gustownie.

Po dwuletnim pobycie na pensyi powróciła do domu ojcowskiego. Tutaj spotkał ją nowy cios —jej brat oddał się nagannemu życiu, co go też zbyt wcześnie

do grobu wpędziło. Zajęła się znowu, wraz z swojemi siostrami, pracami literackiemi. Do godziny dziewiątej wieczór zajmowały się domowem gospodarstwem, poczem chodząc po pokoju wymyślały plany do nowych powieści, dopiero, gdy ogień zupełnie wygasł na kominie, udawały się na spoczynek. Gdy miały już kilka manuskryptów gotowych do druku, postanowiły zasięgnąć rady którego z koryfeuszów literackich. W tym celu napisała Karolina do *Southey'a*, znanego poety nadwornego i zdaje się także do *Coleridge'a.*

Southey w odpowiedzi wyjawił zdanie, że autorstwo nie jest rzeczą kobiet. Więc siostry postanowiły wstrzymać się z publikacyą dzieł swoich, i przez 10 lat od roku 1836 do 1846 zatrudniały się kształceniem cudzych dzieci tak w domu jak i za domem. W tym to okresie życia rozwinął się zupełnie charakter Emilii, drugiej siostry Karoliny, która opowiadała, że gdy siostra, podając z litości wody wściekłemu psu, została przez niego ukąszona, porwała natychmiast rozpalone żelazo i wypiekła niem ranę; dopiero po ominięciu wszelkiego niebezpieczeństwa opowiedziała to zdarzenie całej rodzinie.

W roku 1846 rozpoczęły trzy siostry zawód literacki.

W tym to roku wydały pod pseudonimami *Currer, Ellis* i *Akton Bell* jeden tom poezyj, który im ani sławy nie zjednał ani pieniędzy nie przyniósł. W tym samym czasie proponowała Karolina kilku księgarzom kupno romansu „Profesor“ dotąd jeszcze niewydrukowanego — ale nadaremnie. To już mogło zrazić. Do tego przyłączyły się wielkie klęski. Ojciec ociemniał zupełnie, a brat ugrzązł w nałogu pijaństwa. Lecz podobne serca nie tracą tak prędko odwagi. Wszystkie trzy siostry rzuciły się z zapałem do pracy, ale już nie razem, lecz każda osobno. Emilia napisała: *Wuthering Heigths* — Anna: *Agnes Grey* — wreszcie Karolina: *Jane Eyre.*

Nakładca, któremu Karolina tę powieść posłała, dał ją pewnemu krytykowi do przeczytania... a gdy tegoż pochwały zdawały się mu za przesadzone, oddał ją drugiemu, który... przepędziwszy całą noc na czytaniu, wydał o tem dziele najpochlebniejsze zdanie — w co także nie wierząc, sam ją przeczytawszy musiał wyznać, że tych krytyków pochwały były jeszcze za słabe. Powieść ta wywołała w publiczności taki entuzyazm, że nim się jeszcze ukazała recenzya, już całe wydanie było rozkupione. Zaczynano się dopytywać o autora, lecz i sam nakładca nie mógł dać dokładnego wyjaśnienia. Nawet przy drugiem wydaniu zachowała Karolina ścisłe inkognito. Dopiero, gdy Ellis i Akton swoje powieści wydały, a krytyka błądząc po manowcach, nie mogąc się niczego dowiedzieć, wszystkie trzy powieści jednego pióra być sądziła, a ztąd sądy i zdania najoryginalniejsze powstały; postanowiły Karolina i Anna poznać się osobiście z swoimi nakładcami. W tym celu pojechały do Londynu, a ulokowawszy się w nader skromnej oberży, udały się do nakładców, którym, wylegitymowawszy się jako autorki wzwyż wymienionych dzieł, odkryły im prawdziwe nazwiska swoje.

Siostry zabawiły tylko kilka dni w Londynie — spieszyły do swojego cichego domku, gdzie zostawiły brata, ciężką chorobą złożonego — wkrótce umarł...a jakiś fatalizm, ciężący nad ich biednem życiem, zaczął pomału rozplątać węzeł trzech sióstr. Emilia nie przeżyła długo brata. Anna zatęskniła za siostrą, a zimny wilgotny grób wydarł ją objęciom Karoliny... ta została sama...

Wkrótce po ogłoszeniu Jane Eyre rozpoczęła nowy romans Shirley. Gdy brat umarł, miała właśnie drugi tom gotowy. Dopiero po śmierci sióstr kończyła tę pracę. Ale jakże jej trudno było pisać, gdy nie było przyjaznego ucha i serca, któremuby można było wylane na papier uczucia powierzyć; jednak wszystko na tym świecie mija...tak i największy żal i rozpacz, która, jeźli zupełnie nie ustąpi, to przynajmniej przemieni się w cichą boleść.... życie zażądało swoich praw — musiała pozawiązywać nowe stosunki... imię jej nabrało rozgłosu... szukano jej znajomości... znakomitości literackie zaczęły z nią korespondować i tak: Lewes, Miss Martineau, Mrs. Gaskell, (autorka życiorysu Karoliny) i Thackeray, którego wysoce ceniła. Zrobiła także małą wycieczkę nad jeziora północnej Anglii i do Szkocyi. Jej siły żywotne zaczęły watleć. Trzeci swój romans „Vilette“ pisała pomału i z rodzajem niechęci, lecz i tę powieść przyjęła publiczność z wielkim entuzyazmem.

W ostatnim roku życia swojego poszła za mąż, chociaż pierwej wiele wcale stósownych partyj odrzuciła; oddała rękę duchownemu, który przez długi przeciąg czasu okazywał się dla niej nadzwyczaj przychylnym i serdecznym. Małżeństwo to było nadzwyczaj szczęśliwe; lecz niestety po kilku miesiącach słodkiego pożycia, zaziębiwszy się, musiała ułożyć się na łożu boleści, z którego już więcej nie wstała. Powolna febra niszczyła jej siły. Leżała w ciągłej gorączce bez przytomności. Pewnego razu, gdy przyszła cokolwiek do siebie i ujrzała wynędzniałą twarz męża, nachyloną i szeptającą blademi usty modlitwę, błagającą o przywrócenie do zdrowia ukochanej żony — wyrzekła słabym głosem: „Ja nie umrę — Bóg nas nie rozłączy, myśmy tak szczęśliwie żyli ze sobą.“

Roku 1855 dnia 31 marca umarła Karolina. Za trumną widziałeś tłum biedaków i żebraków z okolicy: bo serce Kazoliny Bronte było otwartem przez całe jej życie dla każdego, czy od losu prześladowanego, czy z własnej winy cierpiącego.

W. Rola.

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Od ostatniego sprawozdania bardzo mało porachować możem przedstawień. Wszakże już przez tydzień cały teatr zupełnie zamknięty—czemu przy biegu zdarzeń dzisiejszych dziwić się nie można. O odegranych przedstawieniach nie wiele da się powiedzieć. Podniesiemy chyba Korzeniowskiego: *Wąsy i peruka*, nie dla samej doskonale znanej, ogranej, i dla onych długich...arcymoralnych.. ale nudnych nieco dyalogów, wcale nie zajmującej komedyi; ale dla starannej zwykle gry artystów naszych w tej sztuce. Że tym razem przedstawienie tej komedyi przed zupełnie prawie pustemi ławkami chłodniej wypadło, rozumie się samo przez się. W tej mierze jedno uczucie łączy i artystów grających i widzów patrzących, a słuchających jeśli można jednem tylko uchem, bo drugie w dal natężone, żądne dosłyszenia wieści jakiej ważnej. Mimo to pełna serdecznego polskiego uczucia gra panny *Biedrońskiej* w roli kasztelanki zdołała rozegrzać nieliczną publiczność i przyprowadzić do rzęsistych oklasków, jakiemi nagradzała swą ulubioną i zasłużoną artystkę.

Omal nie zapomnieliśmy, że w tej właśnie czasu przestrzeni, o której dajemy sprawozdanie, przeszła przez scenę nowość, przeszła — niepostrzeżona prawie. Jakkolwiek nowość ta nie jest wcale arcydziełem, że tak przeszła przez scenę, winno jest po części chwilowe zajęcie wszystkich umysłów, a po części wielkie, więcej jak zaniedbane oddanie sztuki. Nowością tą była *Iskra poezyi* przez *Józefa Dzierzkowskiego*. W szeroki rozbiór tej komedyi, dobrze wcale swego czasu ocenionej w lwowskich dziennikach, wdawać się nie myślimy. Powiemy naprzód w krótkości co do treści, że autor chciał w tej sztuce wypowiedzieć i uwydatnić tę myśl swoję dosyć prawdziwą, że pokąd tli w piersi człowieka uczucie i szlachetniejsza iskra, nadzieja nie przepadła, by się ten człowiek nie podniósł z upadku moralnego i miał zginąć w kale zepsucia. Gdzie nie ma tej iskry, tam nie ma już odrodzenia moralnego. Z tego powodu autor przeciwstawił w działaniu dramatycznem dwa charaktery: Zygmunta literata, któremu wśród towarzystwa birbantów tą iskrą zbawczą staje się pamięć na pierwszą, wielką i poetyczną miłość do Wandy, towarzyszki pierwszej życia wiosny; i Ignacego Horoszka, wyższej myśli i wyższego uczucia pozbawionego, który brnie do ostatka w kale ulicznym. To jest mniej więcej cała treść sztuki. O uwydatnieniu tej myśli w dramacie (bo jest to raczej dramat, niżeli komedya) przez autora, powiemy szczerze, że są sceny życia, jedne pełne humoru komicznego, drugie odznaczające się i szczerem uczuciem i głębszą myślą; ale całość— powiedzielibyśmy— w układzie swoim jest raczej powieściowa, niżeli dramatyczna. Znać powieściarza w autorze. Zakończenie w powieści doskonałe, jest na dramat za chłodne może. Ztem wszystkiem komedyja ta może wzbudzić zajęcie, może nawet zostać w repertoarzu. Lecz przedstawienie— powtarzamy— było tak okropnie zaniedbane, że prawdziwie nic więcej ze strony większej części artystów grających uczynić nie było trzeba, aby wspólnie pogrzebać sztukę i autora. Roli nikt prawie nie umiał, mimo że ta sztuka od trzech miesięcy wisiała na repertoarze—a grali wszyscy—niemal, jakby się co prędzej pozbyć chcieli pańszczyzny. Najlepsze miejsca znikały niedomówione, lub źle wymówione. P. *Królikowski* nawet, tak zwykle sumienny artysta, nie odegrał Zygmunta z tą wyższą iskrą poezyi, ale go oddeklamował po większej części z patetycznością do tej roli zupełnie niestósowną. Pna *Hofmann*, jak się zdawało, chciała wdzięcznej roli Wandy sprawić pogrzeb, i sprawiła. Prawdziwie autorowi nic nie zostawało, jak zaprosić na stypę. Nie chciała zrozumieć polskiej sercem i myślą wyższej dziewicy czy kobiety, z tem uczuciem natchnionem, i zapałem gorącym, który rad się mieści w piersiach naszych Polek poczciwych, i zrobiła z Wandy jakąś postać nijaką, wykrygowaną bez prawdy i życia. Tu dodać potrzeba po słuszności, że ta rola była zupełnie nie stósowna dla jej talentu, skłonniejszego do deklamacyj tragicznych, niżeli do oddania samorzutnych uczuć naiwniej szczerych. Rolę tę w dzisiejszym składzie artystów mogła tylko oddać pna *Biedrońska*, pojmująca dosko nale to, o którem mówimy, uczucie proste, serdeczne, naiwne. Lecz w ogóle — można powiedzieć — role były nienajlepiej obsadzone. Dyrekcya, jak to wiemy, mając do tej sztuki prawo legalne, nie pozwoliła autorowi mieszać się w rozdawanie ról, a nawet niektóre obsadziła naprzeciw jego życzeniom. Pni *Krajewskiej* trzeba oddać sprawiedliwość, że starała się najsumienniej w roli Pelagii utrzymać charakter.— Tak samo i p. Benda, źle czy dobrze grał, ale starał się przedstawić jakiś charakter przez autora zakreślony. P. *Delchau*, w roli redaktora, przeciągnął w nieskończoność scenę już i tak zadługą, cedząc słowa powolnemi, choć nie koniecznie wyraźnemi kroplami, i przesadzając sowicie. Najlepiej niemal, możnaby powiedzieć, grała mała swą rolkę *Florki* p. *German*. Rolę gryzetki bowiem z jej dość pospolitem i podejrzanem mizdrzeniem się oddała z—szczególną naturalnością.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza.